

Otwarta pętla – Mont Blanc – część 2/2

tekst: M.Mazur (XII 2019)

wyjazd miał miejsce w lipcu 2015

Część 1/2 tutaj:

[Gran Paradiso \(4061\) – jak miał na imię pies Lucky Luck'a?!](#)

Część 2/2:

Mont Blanc czy Monte Bianco

Już w drodze z Polski dużo rozmawiamy o tym czego się spodziewamy; jak wygląda trasa, historie o miejscu z „rolling stones” i o tym, jak Dziku z Agą byli na Blancu kiedyś zimą i nie wiedzieli, że w schronie na 4200 prawdopodobnie dokładnie wtedy były tam zwłoki jakiegoś nieszczęśnika, którego odnaleziono po kolejnych kilku dniach. Takie i inne wesołe historie sprawiły, że wręcz nie mogłem się doczekać naszego wejścia. Dziku wspomina, że kiedyś z inną ekipą wchodzili od włoskiej strony i jak bardzo to wejście jest nieprzyjazne, słucham i myślę sobie, żeby tylko nic się nie wydarzyło co będzie kazało nam wchodzić od włoskiej strony.

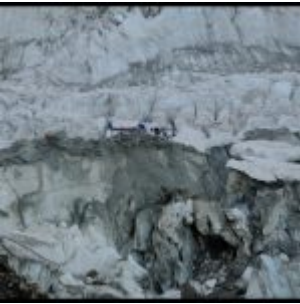
Dojeżdżamy do Chamonix, w informacji dowiadujemy się, że droga na szczyt jest zamknięta bo luźne kamienie spadają i jest niebezpiecznie, szybka decyzja – jedziemy do Włoch i wchodzimy od tamtej strony (sumienie podpowiada mi znowu „o ja cię...”).

<http://dzikumaniak.pl/wp-content/uploads/2016/12/montebianco.mp4>

Kilka godzin i kilka tuneli później jesteśmy po drugiej stronie gór i rozbijamy obóz na polu kempingowym Courmayeur

jakoś tak na 1500 m n.p.m. Przygotowujemy sprzęt i siebie, Dziku się martwi, Aga mnie opieprza że mam przykurcze mięśni i mam się rozciągać, Grzechu pomaga mi ogarnąć pęknięte raki i jak je powiązać żeby dały rade. Znowu rozmawiamy o tym co może pójść nie tak, tym razem same przyjemne tematy jak np. to, że niektóre szczeliny maja po 100 metrów, a niektóre maja nie wiadomo ile. Ćwiczymy wykorzystanie prusikow w przypadku gdyby trzeba było samemu się wydostać ze szczeliny. Pierwszy raz dociera do mnie, że tu można umrzeć.









Startujemy na drugi dzień rano, podjeżdżamy kawałek samochodem, żeby nie człapać bez sensu asfaltem i wchodzimy na szlak. Wygodny i szeroki, wyraźnie oznaczony prowadzący do czoła lodowca Miage. W drodze tutaj nasłuchiwałem się trochę o tym miejscu i o tym, że nasz wspólny znajomy Tomek swego czasu przeklinał ten lodowiec wszystkimi znanymi ludzimi przekleństwami a nawet wymyślił kilka nowych. Zapowiada się ciekawie pomyślałem kiedy zobaczyłem ostre podejście po luźnym boku lodowca. Nie wiem co sobie wyobrażałem ale słysząc „lodowiec” miałem w głowie coś innego. Długa ponad 5km droga po krajobrazie księżycowo-marsowym. Lodowiec jest pod spodem, pod warstwą kamieni niczym sernik pod kruszonką. Słowo „Kamienie” nie oddaje dobrze tego jak wygląda ta droga, bo niektóre kamienie są wielkości buta, niektóre lodówki a jeszcze inne samochodu marki Nysa. Drogi szukamy przez wynajdywanie kopczyków z kamieni, które ktoś przed nami ułożył, Dziku pokazuje nasz cel – schronisko Gonella, które ze względu na blaszaną elewację nazywamy „żelazkiem”. Jest ledwo widoczne z tej odległości i mocno demotywuujące bo co jakiś czas zerkam na nie, ale nie widzę żeby się powiększało. Człapiemy przez lodowiec słysząc wodę pod nami i kamienie, które spadają razem z topiącym się pod nimi lodem i naszym po nich łożeniem. Bez większych przygód, choć cholernie łatwo było głupio skręcić kostkę na tym lodowcu, (którego dobre prowadzenie matki zakwestionował przed nami kolega Tomek a ja dołożyłem od siebie co nieco) dochodzimy do ostrego podejścia. Technicznie łatwe, dobrze ubezpieczona trasę cały zespół pokonuje dość sprawnie, ze śpiewem na ustach niemal, za to ja przechodzę piekło, nie da się pozytywnymi myślami wejść na

szczyt, góra weryfikuje wszystko bezlitośnie, za każdy nieprzepracowany dzień przed przyjazdem tutaj przychodzi mi teraz słono zapłacić. Na mnie plecak z żarciem, namiot, lina, inny sprzęt, przede mną jeszcze kawał drogi a w bidonie koniec wody. Słyszę ją jak spływa gdzieś między skałami, ale nie da się do niej dostać.

Lipcowe słońce ostro operuje, jest pomiędzy 12 a 13 godziną, cienia nie ma a przed nami jeszcze spory kawałek. Dochodzimy do schroniska i padam, myślałem że tylko w głowie sobie to mówię, ale jednak powiedziałem to na głos, że w życiu nie byłem tak zmęczony. Jestem na siebie cholernie wkurzony, czuję się słabo i jestem słaby, zaczynam się poważnie obawiać czy dam rade wejść na szczyt. Z pomocą przychodzi pogoda i zmusza nas na zostanie ponad dobę w schronisku. Mieliśmy czas na odpoczynek, w schronisku znalazłem polska książkę o wypadkach w górach, bardzo ciekawa lektura po tym ja już tu się dostałem. Pozytywnie nastrajające tematy jak historia o tym jak grupa ludzi połączona liną dla asekuracji, zaczęła się ześlizgiwać z ostrego zbocza lodowca raniąc się nawzajem rakami na nogach i czekanami. Znalezione wszystkich martwych, wciąż związanych razem jedna liną. Aga, Grzesiek i ja gramy w karty a Dziku się martwi. Kolejny raz sprawdza sprzęt i liczy ile mamy zapasów jedzenia, sprawdza co godzinę pogodę na metoblue i to się uspokaja to ma minę jak tato łobuza przed wywiadówka. Dla mnie to jest coś bardzo uspokajającego, widzę że jeśli jest ryzyko to on o tym wie i nie powinniśmy być zaskoczeni żadną sytuacją. To daje duży spokój głowy, bo skoro on się martwi to my możemy odpocząć.

Startujemy po dwóch noclegach, jest nieźle, trochę odpoczęliśmy, pogoda zapowiada się dobrze na kolejne dni. Połączeni liną idziemy w szyku – Dziku, Aga, Grzesiek i na końcu ja. Droga, która była wyznaczona na mapie jest jedynie sugestią. Dziku idzie z przodu i wyszukuje możliwej drogi przejścia i szczelin, które można przeskoczyć żeby nie nadrabiać drogi. Trochę frustrujące jest to, że czasami

idziemy 20-30 minut w górę, po to żeby trafić na ślepy zaułek w labiryncie szczelin i wycofywać się w dół. Cel to wysokość około 3600-3700 tam chcemy rozbić namioty i z tego miejsca startować na finalny atak. Lina trzyma nas razem, nie ma miejsca i czasu na opierdzielanie się, zaczynają mięknąć mi nogi. Kilka razy muszę przystanąć zatrzymując całą ekipę. W pewnym momencie klękam na jedno kolano i mówię że muszę odsapnąć. Grzesiek proponuje że weźmie namiot, ja nie chce! Czuję, że przegrywam z górą, nie chce całkiem się poddać. Dziku podchodzi bez słowa odpina namiot od mojego plecaka przytracza do swojego, który ma i tak mocno objuczony i startujemy dalej. Nie mam siły protestować, każdy kilogram mniej to zbawienie. Nigdy nie zapytałem go co wtedy miał w głowie, czy było to „cholera jasna z mięczakami” czy może „ok jesteście zespołem idziemy razem” ale w tym momencie zobaczyłem, że prawdziwych przyjaciół poznaje się wtedy, gdy wezmą na siebie ciężar, który sam na siebie sprowadziłem, a którego nie dam rady udźwignąć.

Docieramy na około 3700 m, gdzie w okolicach dużego kamienia znajdujemy kawałek wypłaszczenia wystarczającego na rozbić dwóch namiotów. Alpejskie gęsi wyścigowe w trójkę idą na zwiad, ja proponuje ofiarnie, że zostanę popilnować sprzętu (zadanie o tyle łatwe, że nie spotkaliśmy nikogo na trasie i jesteśmy chyba jedynymi, którzy atakują z tej strony).

Idzie rak i gówno z tego.

Startujemy w nocy, jest ciemno, zimno, mięśnie ciągle boją, bigos lyo nie ułożył się dobrze, ogólnie „w górach jest wszystko co kocham”. Docieramy do ostrej grani, po której okrakiem jak po szczycie stromego dachu powoli krok za krokiem posuwamy się do przodu. Nie jesteśmy spięci liną bo jedna osoba spadając pociągnęłaby za sobą cały zespół. Jest ciemno, ale widzę, że i z lewej i z prawej strony pobłyskujący w czołówce lód znika w ciemnościach. Jest tak stromo że spadając nie ma żadnych szans na zatrzymanie się przy pomocy czekana. Wiele razy myślałem o ryzyku w górach, o tym co robić by nie

wpakować się w kłopoty, ale pierwszy raz miałem myśli w głowie że jeśli popełnię błąd, jeśli się zachwieje, ucieknie mi noga albo stanie się coś nieprzewidzianego to nie tyle będę miał kłopoty co umrę! Szansa na przeżycie upadku była znikoma lub zerowa. Kostki zaczynają mnie boleć od nienaturalnej pozycji, a w głowie ciągnęła myśl „czy raki wytrzymają”.

Wreszcie koniec! Przeszliśmy przez tę dramatyczną grań i wchodzimy już na 4000 metrów i wielką otwartą przestrzeń. W oddali widać czołówki ekip startujących od francuskiej strony i blaszany schron. Docieramy do niego koło 6 rano wchodzimy na chwilę, żeby wciągnąć delikatne śniadanie i odsapnąć. Mój organizm zapragnął zostawić w tym miejscu po sobie coś, co za tysiące lat będzie analizowane przez archeologów. Ekipa nie może czekać bo marznie, więc ja staram się jak najszybciej dokonać ostatecznego aktu zbeszczeszczania góry pozostawiając za sobą kupę w kibelku przy Vallocie. Kiedy w końcu zapinam wszystkie warstwy i uprząż, widzę że daleko przede mną są małe punkciki, to ekipa tak wyrwała do przodu. Biegli cholera czy co?! Staram się ich dogonić, ale we znaki daje się wysokość. Dziku poczekał chwilę i do niego udaje mi się dojść, Aga z Grześkiem mocno na przodzie. Powyżej 4500 m każdy krok jest trudny, mówię Dzikowi, że muszę odsapnąć, on ze spokojem odpowiada że teraz nie odpoczywam, że tu na stojąco tracę energię i musimy iść. Przechodzę w tryb 50 kroków. Spuszczam głowę w dół, patrzę pod nogi, skupiam się tylko na kolejnym kroku i liczę do 50. Po odliczeniu przystaje na chwilę ale Dziku jest krok za mną i każde 5 sekund dłuższego postoju powoduje, że to delikatnie mnie klepie po ramieniu to chrząka znacząco. Z boku musiało to wyglądać jak kat prowadzący skazańca na szafot. Patrzę co jakiś czas przed siebie i widzę że jest! Jest szczyt! dostaję kopa energii bo przecież to już tu, już za chwilę. Żeby ze wściekłością zobaczyć że to taki przedwierzchołek i teraz trzeba zejść w dół, żeby znowu się wdrapywać.

Szczyt i zejście

31 lipca 2019 roku około 9 rano zdobywamy Mont Blanc. Na szczycie kupa radości, piękny widok, mroźny wiatr ale bardzo dobra widoczność, udało nam się wejść w jednym czasie więc uściski, gratulacje i wspólne fotki i startujemy w drogę powrotną. Mijamy dzikie tłumy, przewodników targających na linie klientów za nimi, duże i mniejsze grupy, w kilku miejscach musimy czekać bo jest ruch wahadłowy. To mnie trochę zaskoczyło, nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo popularny jest pomysł żeby zdobyć „Dach Europy”.

Powtórny horror z ostrą granią, tylko tym razem jest jasno i widać to co w nocy czuliśmy – otchłań z lewej i prawej strony. Bez sensu! W filmach bohaterowie zdobywają górę krzyczą, cieszą się i są napisy końcowe a tu cholera jeszcze kupa męki przed nami. Bez przygód, ale wciąż z maksymalnym skupieniem docieramy do namiotów. Są wczesne godziny popołudniowe, znowu coś mnie ciągnie z dala od tej góry, chce już być na dole, bezpieczny, z daleka od szczelin, grani, lodu i przepaści. Namawiam resztę żebyśmy startowali, uczucia są mieszane, ale jak to w demokracji większość zmusza mniejszość i startujemy. Aga nie czuje się najlepiej, chce zejść niżej, ale rozbić namiot gdzieś na Miage i zostać na noc. Dziku martwi się pogodą, ja chce być już w bezpiecznym namiocie, ale daleko od tego lodowca. Człapiemy powoli rozciągamy się w szyku, ja zostaje z Agą z tyłu żeby tym razem być przydatnym jako podtrzymywacz na duchu.

Ciemną nocą docieramy na pole namiotowe, dogadujemy się z właścicielami żeby nie rozbijać namiotów tylko przespać się na podłodze w jadalni. Praktycznie w momencie naszego wejścia na jadalnię zaczyna się ostra ulewa i pada całą noc, ale my jesteśmy pod dachem, jest ciepło, jesteśmy najedzeni.

Po co?

Po ponad 4 latach, gdy pisze tę relację, zastanawiam się po co mi to było? Sprawdzić siebie? Pokonać ograniczenia? Zrobić coś z czego będę dumny? Nic z tego nie było głównym motywem tego

wyjazdu, chcieliśmy razem przeżyć przygodę i razem pokonać górę. Ten cel osiągnięty został całkowicie.

Uwielbiam góry, pokonywanie ich i siebie ale nie znam kogoś kto tak kocha góry jak Dzik i Aga, potrafią jechać 15 godzin samochodem w nocy z czwartku na piątek, żeby zdobyć kolejny szczyt i jeszcze w niedzielę na kolację wrócić do domu.

Bardzo chciałem zobaczyć góry ich oczami, zrozumieć dlaczego tak bardzo ich ciągnie tam gdzie zimno, głodno i niewygodnie. Uzależniające jest poczucie przestrzeni, odległości nie tylko do kolejnego etapu wspinaczki ale również od problemów, które wydają się być absolutne i ostateczne a z wysokości stają się szumem. Pracując przez 16 lat w firmie, która jak każda w jej rozmiarze stara się wdrukować w głowę to, że czerwone wskaźniki w arkuszu Excela czy raport w postaci 10 slajdów prezentacji jest największym problemem świata, który zatrzyma się jeśli ten pierwszy nie będzie zielony a prezentacja nie będzie miała animacji.

Zdecydowanie wróć w Alpy, nie dla zaliczania szczytów na liście, ale dla powtórki przeżycia tego poczucia braterstwa i jednego prostego wspólnego celu przed nami. Zostało mi w głowie wciąż tyle obrazków z tej wyprawy, ale jeden z najsilniejszych to skoki przez szczelinę. Grzesiek przede mną pokonuje tę przeszkodę, wybiera luz liny przybiera postawę mocniej wbijając się w śnieg rakami i daje lekkim skinieniem głowy sygnał. Ten gest mówi wszystko – jestem gotowy, możesz mi zaufać, jeśli będzie trzeba złapie Cię, albo pójdę za Tobą. Takich ludzi na końcu liny potrzebujemy w naszym życiu, którzy bez słowa przejmą nasz ciężar gdy ukłękniemy pod jego wagą, albo będą tuż za Tobą, żeby dać Ci impuls do parcia naprzód.

tekst: M.Mazur